

## ZOFIA SIEKIELSKA

Warszawa, 12 lutego 1946 r. Asesor sądowy Antoni Krzętowski, delegowany do Oddziału Głównej Komisji Badania Zbrodni Niemieckich przesłuchał niżej wymienioną w charakterze świadka, bez przysięgi. Upprzedzona o obowiązku mówienia prawdy oraz o odpowiedzialności karnej za fałszywe zeznanie świadek zeznała, co następuje:

---

Imię i nazwisko	Zofia Siekielska
Imiona rodziców	Stanisław i Antonina
Data urodzenia	5 stycznia 1899 r.
Miejsce zamieszkania	Warszawa [...]
Zajęcie	pielęgniarka
Wykształcenie	dypłom państwowy z pielęgniarstwa
Wyznanie	rzymskokatolickie

---

Pracowałam w Szpitalu Karola i Marii w Warszawie od 1918 r., pracuję tam i obecnie jako pielęgniarka. W czasie okupacji niemieckiej pracowałam tam również. Rejon, w którym znajdował się szpital, był terenem walk powstańczych od chwili wybuchu powstania.

Czy w samym szpitalu znajdowali się powstańcy, nie wiem, jednak ze szpitala naszego w każdym razie ogień żaden przeciwko Niemcom nie był prowadzony.

Niemcy po raz pierwszy dostali się na teren szpitala 6 sierpnia 1944 r. Było to w godzinach rannych: weszło dwóch żołnierzy niemieckich, którzy zapytali się zaraz, czy mamy w szpitalu żołnierzy niemieckich. Ponieważ mieliśmy wówczas jednego, więc do niego ich skierowaliśmy. Ów ranny żołnierz niemiecki wydał o nas dobrą opinię, w rezultacie czego Niemcy wyszli, nie czyniąc nam żadnych przykrości.

Tego samego dnia jeszcze do szpitala wtargnęła większa liczba żołnierzy niemieckich, którym towarzyszyli tzw. przez nas Mongołowie. Byli oni ubrani w wojskowe mundury niemieckie, odróżniali się jednak tym, że na hełmach mieli sznurkowe siatki, a poza tym każdy z nich był obwieszony dużą ilością taśm z pociskami do broni maszynowej. Wyróżniali się nadto tym, że chodzili w bardzo charakterystyczny sposób, stąpając na czubkach palców, bardzo zwinnie. Rysy twarzy i cera zdradzały ich wschodnie pochodzenie. Według informacji, jakie dochodziły do naszego szpitala od ludzi z zewnątrz, tak wyglądać miały właśnie oddziały egzekucyjne.

"Mongołowie" wysunęli się na czoło przed Niemcami i w momencie, gdy wtargnęli oni do szpitala, nastał moment ciszy, którą wkrótce przerwały głośne krzyki jakby kilku różnych osób. Krzyki te wyrażały grozę, przejmujący strach – bardziej niż uczucie bólu – w tym samym czasie usłyszałam kilka pojedynczych strzałów.

Ja znajdowałam się wówczas w korytarzu oddziału wewnętrznego, a więc pomiędzy oddziałem chirurgicznym i wewnętrznym. Owe krzyki i strzały doszły do mnie z oddziału chirurgicznego. Na ich odgłos pobiegł zaraz w kierunku, skąd one dochodziły, jakiś wojskowy niemiecki i w chwilę potem na oddziale chirurgicznym zapanowała cisza.

Czy tam wówczas kto z naszych chorych został zabity, tego kategorycznie stwierdzić nie mogę. Jednak w parę dni później, gdy Niemcy pozwolili mi po zabraniu nas do Szpitala Wolskiego udać się do Szpitala im. Karola i Marii po niektóre rzeczy dla chorych, widziałam kilka łóżek na oddziale chirurgicznym, których materace były splamione obficie krwią. Łóżek takich widziałam tam ze cztery lub pięć.

Niemcy czy też owi „Mongołowie” wpadli na teren szpitala z okrzykami „bandyci” (bandit). Po zlikwidowaniu krzyku i strzelaniny na oddziale chirurgicznym zachowywali się oni już spokojnie, z tym, że niektórzy spośród „Mongołów” kazali oddawać sobie zegarki, pierścionki czy inną biżuterię. Mnie „Mongoł” zabrał złoty zegarek i kazał go sobie nawet przypiąć agrafką do munduru na piersi. Komendę nad całością mieli jednak Niemcy, oni wydawali wszelkie zarządzenia.

Niemcy kazali nam wszystkim zebrać się na drodze asfaltowej przed szpitalem, przy czym dotyczyło to całego personelu lekarskiego, pielęgniarskiego i całej w ogóle obsługi szpitalnej oraz tych chorych, którzy zdolni byli iść o własnych siłach.

Wiem, że ewakuacja szpitala nastąpiła w trzech grupach, ale jaka była podstawa podziału na te grupy, nie wiem. Przypuszczam to tylko, że grupy te wyprowadzane były według oddziałów szpitala, stosownie do tego, kogo Niemcy na danym oddziale zastali.

Ja należałam do grupy z oddziału chirurgiczno-wewnętrzznego dr. Chroboniego. Było nas ok. 20 osób personelu i taka sama mniej więcej liczba rannych względnie chorych. Byli to oczywiście lżej ranni, mogący iść o własnych siłach. Ciężko rannych Niemcy nie pozwolili nam zabrać ze sobą. Zostali oni w szpitalu, tak jak leżeli pokotem na materacach.

Tych ciężko chorych mogło być u nas 6 sierpnia ok. 200. Co z nimi później się stało, nie wiem, moje osobiste przeświadczenie mówi mi jednak, że Niemcy zamordowali ich na terenie szpitala.

Gdy w parę dni po ewakuacji za zezwoleniem Niemców powróciłam do szpitala, aby zabrać bieliznę dla chorych dzieci, to starałam się zwrócić uwagę na wszelkie ślady, które mogłyby mnie zorientować o losach tych chorych i w ogóle o całej gospodarce Niemców na terenie szpitala, jednak towarzyszący mi jako eskorta Niemiec nie pozwolił mi się rozglądać, a tylko kazał mi zabrać bieliznę z miejsca, które uprzednio musiałam mu wskazać. Trudno więc było mi coś zauważyć.

Grupę naszą ze Szpitala Karola i Marii zaprowadzono do Szpitala Wolskiego przy ul. Płockiej. Po drodze trzykrotnie nas zatrzymywano na ulicach, przyglądano się nam badawczo, repetowano [broń] względnie poprawiano coś przy karabinach, jak również nie wiem po co Niemcy znosili i potem znosili z powrotem jakieś bańki do podwórek domów, przy których nas zatrzymywano. To wszystko robiło na nas wrażenie jakby jakiegoś przygotowania, nie wróżącego dla nas nic miłego.

Przy zbiegu ulic Leszno, Młynarskiej i Górczewskiej obok figury Matki Boskiej zastrzelony został przez Niemców dr Kmicikiewicz.

Ja słyszałam tylko strzał, gdyż zajęta byłam w tym czasie chorym dzieckiem, natomiast scenę zastrzelenia dr Kmicikiewicza dokładnie zaobserwowała pielęgniarka Rządowska Maria. Później, po zastrzeleniu dr Kmicikiewicza, na jednym z dalszych przystanków podjechał do nas jakiś wojskowy niemiecki. Ja nie znam niemieckiego języka, lecz osoby znające niemiecki mówiły mi, że był to lekarz wojskowy, i że gdy na zapytanie jego

konwojenci nasi dali mu odpowiedź, że jesteśmy bandytami ze szpitala, to wówczas dał on im polecenie, aby skierować nas do Szpitala Wolskiego. Konwojenci zaoponowali, jakoby mówiąc mu, że oni mają co do nas inny rozkaz, jednak ów lekarz, odjeżdżając już, rzekomo miał ponownie wydać im polecenie odprowadzenia nas do Szpitala Wolskiego. Istotnie też tam zostaliśmy doprowadzeni. Ja wyobrażałam sobie, że gdyby nie ten rozkaz, to pewnie zostalibyśmy gdzieś rozstrzelani.

Po wejściu do Szpitala Wolskiego zostaliśmy my, tzn. personel, przydzieleni do różnych prac w szpitalu, chorzy natomiast zostali rozmieszczeni [w miarę możliwości]. Jednak w krótki czas potem Niemcy zażądali, aby zgłosiło się ochotniczo dziesięciu lżej rannych, którzy przyszli o własnych siłach i dziesięć siostr szpitalnych, a to celem pójścia do Szpitala Karola i Marii. Komplet taki istotnie się zgłosił, jednak przy zbiegu ulic Leszno, Górczewskiej i Młynarskiej owych dziesięciu lżej rannych odłączono od sióstr i wszelki ślad po nich zaginął. Siostry natomiast zostały doprowadzone do Szpitala Karola i Marii, gdzie miały opiekować się pozostawionymi tam jeszcze chorymi dziećmi i następnego dnia powróciły z nimi do Szpitala Wolskiego.

Słyszałam, że dwoje spośród tych dzieci zostało zabitych na terenie Szpitala Karola i Marii prawdopodobnie od zabłąkanych kul.

Będąc w Szpitalu Wolskim, jeszcze tego samego dnia, w którym nas tam sprowadzono tj. 6 sierpnia, widziałam z okna korytarza na parterze budynku, jak sądzę, egzekucję na Polakach.

Zobaczyłam mianowicie w pewnej chwili stojących szeregiem obok siebie pięciu żołnierzy niemieckich, z których każdy trzymał, jak mi się zdaje, broń w wyciągniętym ręku i skierowaną u wszystkich w jednym kierunku, po czym usłyszałam trzykrotnie, zdaje się, powtarzającą się salwę.

Zrobiło to na mnie silne wrażenie, gdyż nie miałam wątpliwości, że to jest egzekucja.

Niemcy stali wówczas w bramie w drewnianym czy też siatkowym parkanie łączącym dwa szpitalne budynki i zamykającym w ten sposób z jednej strony szpitalne podwórze i oddali salwy w kierunku na zewnątrz szpitala w stronę ul. Działdowskiej. Było tam podwórze sąsiadującej ze szpitalem posesji.

W Szpitalu Wolskim przebywałam do końca października 1944 r., po czym razem ze Szpitalem Karola i Marii przeniosłam się do Milanówka, a następnie do Włodzimierzowa w okolicach Piotrkowa.

Obecnie, od grudnia 1945 r., pracuję w ambulatorium Szpitala Karola i Marii w Warszawie na dawnym miejscu przy ul. Leszno. Szpital jeszcze w całości nie jest uruchomiony, a czynne jest tylko ambulatorium. Cała reszta szpitala jest obecnie w stadium organizowania.

Dodaję, że mówiono mi, że wiosną 1945 r. ktoś tam, chcąc uprawiać dla siebie ogródek na terenie Szpitala Karola i Marii, natrafił przy tej okazji na zwłoki ludzkie. W rezultacie tego odkrycia przeprowadzono w tym miejscu ekshumację. Odnaleziono tam podobno trzydzieści kilka zwłok, a w tym ciała dwu czy trzech kobiet.

Kto przeprowadzał ekshumację, nie wiem. Szczegóły tego powinien znać przesłuchiwany już w tej sprawie Michał Kostyra względnie Maria Kozłowska, pracownica fizyczna szpitala (zam. w Szpitalu Karola i Marii ul. Leszno 136).

Protokół odczytano.